Przysyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy“ Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 19 LIPCA 1924. Nr 45.

Danse macabre.

Pos. Thugutt: Czy w tych warunkach w tę dyskusję, którąby panowie chcieli utrzymać w tonie wersalskim, nie wmiesza się ulica i czy jej wmieszanie nie przekreśli przypadkiem wszystkich waszych rachunków.

Głos na prawicy: Wersalski argument.

Pos. Thugutt: Nie czas mówić o Wersalu, kiedy państwo trzeszczy.

Dość tego.

(Mowa posła Thugutta, wygłoszona w Sejmie dnia 12-go października 1923 roku)

W chwili, gdy piszemy te słowa, pierwsza sesja pierwszego Sejmu ordynaryjnego dobiega końca, zakłóconego niebywałym pod względem kolorytu politycznego ewenementem rekonstrukcji gabinetu, skupiającego w swym ręku pierwszorzędnej doniosłości atrybuty władzy ustawodawczej, obok naturalnych kompetencji władzy wykonawczej.

Nagle, w przededniu zakończenia sesji parlamentarnej, po tragicznych doświadczeniach rządu paktu lanckorońskiego, gdy zdawało się, że poprzez tragiczne mogiły ofiar wypadków krakowskich, borysławskich, tarnowskich i górnośląskich — wywołanych przez zamachowy atak wojującego nacjonalizmu na demokratyczny ustrój Rzeczypospolitej; poprzez bolesny upadek powagi Państwa, zszarganej w błocie korupcji i głupoty przez rząd ponurych, brutalnych i rozwydrzonych szowinistów, wspomagany przez ciemne elementy spekulacyjno-karjerowi-

czowskie—nareszcie i na szczęście sprecyzowały się w Polsce dwa obozy polityczne, rozdzielone nigdy nieprzebytą przepaścią zasadniczych, niewzruszonych, ideologicznych antagonizmów; gdy przecież nie wolno, zdałoby się, wątpić, że nie może być mowy o kompromisie pomiędzy tępem, ciasnem, egoistycznem i krótkowzrocznem, zwyrodniałem w zaduchu kołtuństwem, a zdrową, twórczą, nowoczesną myślą demokratyczną — nagle, z podziemi konspiracji wydostaje się na światło dzienne szaleńcza, zbrodnicza omal koncepcja *union sacrée* pomiędzy p. Thuguttem i Stanisławem Grabskim.

Bez porozumienia z klubami lewicy sejmowej, bez zasięgnięcia opinji obozu demokracji, nagle, na własną rękę, p. Stanisław Thugutt, jako *leader* lewicy, deklaruje gotowość podzielenia z jednym z wybitnych *leaderów* obozu zbrodni odpowiedzialności za pozaparlamentarne rządy państwem; wyraża chęć podjęcia się zadania rehabilitowania w oczach świata i w opinji demokracji polskiej ohydy skompromitowanej własnym łajdactwem endecji.

Czyn ten — w pomyśle samym szaleńczy — jest koroną całokształtu polityki p. Thugutta od upadku rządu Chjeno-Piasta do dnia ostatniego, polityki, której skutki ponosi lewica jako całość.

Jest w tym prawdziwy fatalizm, tak tragicznie ciążący na losach Polski, że z pobudek czystych, bezinteresownej ofiarności i najlepszej woli służenia państwu—rodzi się nieporadna naiwność i negacja prymitywnej logiki faktów politycznych, jakaś krótkowzroczność, wspomagana karygodnym u polityka brakiem pamięci, jakieś nonszalanckie i lekkomyślne deptanie zasad, które się wczoraj głośno wyznawało.

Charakter, wola, jasne cele, zrozumienie zasadniczych dróg dziejowego przeznaczenia Polski — wszystko to istnieje wyłącznie w słowach, którym czyny przeczą.

Broniąc usilnie parlamentaryzmu, przy lada okazji składa się przeliczne dowody lekceważenia go w praktyce; głosząc hasła nieprzejednanej walki z nacjonalizmem, z jakąż lubością zabiega się o jego poklask; stając rzekomo w obronie nowoczesnej ideologji demokratycznej, na każdym kroku wymierza jej się ciosy, groźniejsze niżby je kiedykolwiek mogli zadać wrogowie.

A nad tem wszystkiem unosi się tani patos rzekomej racji stanu, podszeptywanej słabym głowom przez włóczący się po kuluarach sejmowych układny i usłużny Kompromis.

Więc brniemy w ciepłym błotku kompromisu, poświęcając mu najżywotniejsze interesy dnia dzisiejszego i przyszłości własnego obozu, później Polski, oddając mu wreszcie skarb ostatni — własne sumienie. I jako nagroda pozostaje ze wszystkich wyzutym walorów — pochwała obozu, który był i nie

przestał być w naszych oczach nieszczęściem i źródłem najcięższych klęsk państwa.

Pół roku cała lewica w nieustającej ciężkiej i bezwzględnej walce broniła państwo przed zbrodniczą ręką zamachowców lanckorońskich. Nie było słów oburzenia i potępienia, którychby nie użyto w tej walce, nie było hasła świętszego nad nieubłaganą, bezlitosną walkę z obozem, który w półroczu rządów zdołał ujawnić całą swą nikczemność moralną, nieliczącą się z żadnym względem na interes Rzeczypospolitej. I wreszcie rząd ten toczony zgnilizną wewnętrzną pękł jak dojrzały wrzód, jego twórcy i uczestnicy w poczuciu beznadziejnego zdawałoby się bankructwa usunęli się skwapliwie w cień zapomienia.

I nagle społeczeństwo dowiaduje się ze zdumieniem, że *leader* opozycji, otrzymawszy od Prezydenta misję uformowania rządu zwrócił się z ofertą współpracy do zbankrutowanego przeciwnika, że od jego poparcia uzależnił egzystencję swego rządu i że spotkawszy się z rekuzą złożył mandat — uznał że bez zgody swego śmiertelnego wroga rządzić nie może.

Od tej chwili rozpoczęła się szaleńcza akcja ratownicza posła Thugutta dla Chjeny, akcja w którą wikłał i pociągał coraz głębiej lewicę sejmową, doprowadzając wreszcie do całkowitej Chjeny rehabilitacji oddaniem jej uznaniu i łasce inicjatywy w sprawie realizacji konstytucyjnych praw mniejszości narodowych.

Obóz, który przez pięć lat, a od roku 1920 w szczególności, uczynił z negacji tych praw swój sztandar bojowy; który zbezcześcił i od czci odsądził ludzi i całe stronnictwa, upatrujące w nadaniu mniejszościom narodowym należnych im praw pomyślność Polski; który zamordował Prezydenta dlatego jedynie, że się cieszył zaufaniem tych mniejszości — ten obóz, w chwili, gdy pod presją sytuacji międzynarodowej musiał szukać drogi do lewicy, aby uzyskać od niej prawo przyjęcia jej zasad poszanowania praw narodowościowych obcoplemiennych obywateli polskich, powołany zostaje nagle przez p. Thugutta do ujęcia w swe ręce kierownictwa sprawą. Akceptując w dalszym ciągu niedorzeczny projekt Stanisława Grabskiego o języku w szkolnictwie, zawiera z Chjeną cichy pakt w sprawie głosowania nad nim w Sejmie, wykluczający wszelką rzeczową dyskusję i prawo wprowadzania doń jakichkolwiek poprawek. W ten sposób zakneblowano usta przedstawicielom mniejszości, zmuszając ich do najgwałtowniejszych protestów, oraz przerzucono na barki lewicy odpowiedzialność za endecką fałszywą grę, obliczoną — co tu ukrywać — jedynie na efekt zewnętrzny.

Zamiast zmusić przypartą, jak się rzekło, do muru endecję głosować na rozumny, wspólnie przez lewicę z udziałem posłów zainteresowanych mniejszości narodowych opracowany projekt, wzglednie doprowadzić na tym terenie do bez-

względnej rozgrywki — p. Thugutt poddaje się kierownictwu Stanisława Grabskiego.

Odwdzięczając się pięknem za nadobne naczelny organ endecji następnego dnia po przyjęciu jej projektu przez Sejm tryumfuje nie bez racji, stwierdzając, że „współdziałanie lewicy z t. zw. „mniejszościami“ zostało poważnie zachwiane“, i stawiając kropkę nad „i“ reweluje bez wyjąknienia: „przeżywamy dziś okres pewnego rodzaju wojny pokojowej, w którym to co Francuzi nazywali „union sacrée“ musi w Polsce powoli i na odpowiednich podstawach ujawniać się w pewnych ważnych wypadkach“.

A więc w pojęciu endecji *union sacrée* przeciwko mniejszościom narodowym, przeciwko ośmiu miljonom obywateli państwa.

To jest właśnie wielki sukces polityki, jeśli to polityką nazwać można, pos. Thugutta.

I, o! naiwności, przerażony później stanowiskiem mniejszości narodowych względem dzieła rąk własnych, pędzi na oślep w objęcia Stanisława Grabskiego oczekującego nań z programem *union sacrée* w gabinecie swego brata.

Wszelako ten ostatni bieg maratoński p. Thugutt przypłacił katastrofą polityczną, nie zdążywszy, na szczęście, dopełnić pełnej miary tragedji słabości swego charakteru.

W. Stpiczyński.

Watykan o faszyźmie.

Osservatore Romano, organ oficjalny Watykanu, pisząc o ostatnich zbrodniach faszyzmu stwierdza: „Wszystko to tem jest dotkliwsze i tem większą powinno budzić czujność, że w parze z wykwitaniem pogróżek słownych, idzie wzmagająca się napastliwość czynna co najgorszych elementów. Tak w Turynie, jak i w Kolonji, jak również w Medjolanie; tak samo zresztą, jak w Palermo“.

Prawica angielska wobec zbrodni faszystowskiej.

Organ reakcji angielskiej *Morning Post* tak ocenia dzisiejszą sytuację włoską: „Rzym nie może ochłonąć z doznanego wstrząśnienia w ciągu jednej doby. Gdy się zważy wielkie nadzieje, pokładane w Mussolinim i w faszyźmie zrozumiemy, że wykrycie zabójstwa Matteottiego było zbyt ciężkim ciosem dla tych, którzy spodziewali się świtu jakiegoś nowego dnia Włoch w związku z ich wyzwoleniem się ze zbutwiałych form parlamentaryzmu, oraz wezbranej powodzi bolszewickiej“.

Konsekwencje zbrodni.

Świetny publicysta, głęboki znawca psyche włoskiego narodu i stosunków przez zamach faszyzmu wytworzonych, p. J. Przemyski, dał w łódzkim *Głosie Polskim*, w szeregu znakomitych artykułów, najtrafniejsze i najsubtelniej odważone, ze wszystkich w prasie polskiej zamieszczonych publikacji, ujęcie procesu przeobrażeń nastrojów i światopoglądu politycznego Włoch, zapoczątkowanego zabójstwem posła Matteottiego. W ostatnim artykule p. t. „Rubikon Włoski“ p, J. Przemyski pisze: „Mussolini pod świeżem wrażeniem grozy, wywołanej uśmierceniem posła, zapowiedział wymiar sprawiedliwości jak najsurowszy, rozkazał ścigać zbrodnię aż do najdalszych jej rozgałęzień, posunąć śledztwo aż do kresu odpowiedzialności. I proces potoczył się, jak lawina, chwytając i ogarniając coraz szersze kręgi.

„Nierychło spostrzegł się wódz faszyzmu, że przed oskarżeniem trybunału stanął sam faszyzm w swoim historycznym rozwoju i w swoim politycznym rynsztunku. Organom śledczym pozwolono chwycić za maleńki palec, a oto tryby śledztwa zdruzgotały już całe ramię, a grożą zmiażdżeniem całego korpusu faszyzmu. Od chwili, w której sprawę ujęła w ręce „sekcja oskarżeń“, niema dnia, by rząd nie tracił pozycji za pozycją. Zrazu zmuszony był poświęcić szefa bezpieczeństwa publicznego. Nazajutrz musiał poświęcić dwuch podsekretarzy stanu. Niebawem wypadło w ofierze złożyć kilku ministrów. Wreszcie nie było innego wyjścia i trzeba było zawiesić Izbę poselską: wybory do parlamentu, które miały zapewnić krajowi pięć lat pracy i pokoju, stały się nagle efemerydą, jednodniówką, epizodem! Milicja, rząd, parlament, wszystkie trzy instytucje, będące trzema dźwigniami ustroju politycznego, zachwiały się nagle — rzecz zdumiewająca — zachwiały się pod bogoojczyźnianą mocą prokuratora i jego karnych zarządzeń.

„Po niewczasie zrozumiał faszyzm swój katastrofalny błąd: trybunał sprawiedliwości, z rozwartym kodeksem w ręku z ponad zbrodni zabójstwa Matteottiego cofając się w głąb przeszłości, ku źródłom i początkom faszyzmu, groził zakwalifikowaniem, jako zbrodni, wszystkich rozpraw orężnych tego obozu, wszystkich jego ekspedycji, wszystkich marszów, aż do tryumfalnego marszu na Rzym! Faszyzm bowiem, przeistaczając wszystko w państwie, zapomniał przeistoczyć lub znieść kodeks karny. I o ten właśnie kodeks potknął się tak katastrofalnie. Kodeks szedł swoją drogą, a działacze faszystowscy — swoją, zupełnie odrębną. I wszystko było nibyto dobrze aż do chwili, w której drogi te nagle skrzyżowały się ze sobą. A skrzyżowały się nad zwłokami Matteottiego, ponieważ zwłoki te rzuciły cień tak olbrzymi, że pominąć ich nie było sposobu.

„Dziś nierychło, jak rzekłem, obudził się w faszyzmie instynkt samozachowawczy. Godzi się on na proces o zabójstwo Matteottiego; wydaje na łup śledztwa i wymiaru sprawiedliwości sprawców tego zabójstwa. Ale poza ostatnim, najdalszym sprawcą czy inspiratorem tego przestępstwa przeprowadza kreskę, linję, której broni i której nie pozwala przekroczyć.

„I ta właśnie linja jest Rubikonem włoskim obecnej chwili, jest Rubikonem opozycji; Rubikonem rewolty moralnej kraju, a z drugiej strony — ostatnimi okopami rządu.

„Jeżeli opozycja skupia się cała w żądaniu sprawiedliwości bezwzględnej i bezgranicznej, to rząd przeciwstawia jej tezę, że niema trybunału, któryby sądzić mógł historję

„Zapewne — odpowiada opozycja — trybunał taki nie istnieje. Ale też niema żadnych danych co do tego, by historja odtąd nosić miała czarną koszulę, na domiar zaszarganą“.

Kłamstwa „narodowe“ o amnestji francuskiej.

Gazeta Warszawska organ narodowej demokracji, a o ile nam wiadomo półurzędowy organ p. ministra Zamoyskiego, nie może się pogodzić z amnestją francuską. Wypadałoby aby ci panowie ostrożniej trochę postępowali, aby się nie narażać na „zwycięskie odwroty“, jak to się już zdarzało z innemi wielkościami tego świata. Wycofano się już w *Gazecie Warszawskiej* z ataków na prezydenta Herriot'a, który szczęśliwie jest już „polonofilem“, pogodzono się już z p. Painlevé'm, prezydentem Izby Posłów, z przyjemnością zanotowano wybór na Prezydenta Republiki p. Doumergue'a, radykała, protestanta, masona i t. d.

Od czasu do czasu zdarza się jednak, że w zapomnieniu ktoś z przyjemnością zaczyta się w *Action Française* rojalistyczny świstek francuski najbardziej duchowo odpowiadający naszym narodowym demokratom i... wtedy kłamie *Gazeta Warszawska*, kompromituje się i szkodzi Polsce, jako że jest organem półurzędowym ministerstwa spraw zagranicznych.

Nie może się tedy *Gazeta Warszawska* pogodzić z amnestją dla pp. Malvy i Caillaux. Ponieważ trudno dowieść dla czego, ponieważ niebardzo dobrze redakcji wiadomo, jak to doprawdy było z pp. Malvy i Caillaux, więc decyduje tę sprawę prosto, narodowo, i pyta: „co o tego rodzaju amnestji ma sądzić zagranica sympatyzująca z Francją, komu taka amnestja, oczyszczająca ludzi przekonanych (?) sądownie o zdradę własnego kraju i to w czasach kiedy mu groził miecz wroga, była potrzebna? Doprawdy trudno zrozumieć“.

I dalej w tym samym tonie: „Widok zaiste bezprzykładny. Rząd zwycięstwa, żeby do niego doprowadzić tłumi defetyzm szerzony przez wrogów i jego agentów, ubezwładnia zdrajców, wiodących go do zguby — inny zaś rząd tego samego kraju, borykający się z trudnościami sytuacji powojennej i oświadczający uroczyście, że bronić będzie interesów Francji, potępia i unieważnia zbawienny czyn swego poprzednika, oczyszcza zdrajców i przywraca im cześć“.

Z zarzutami zdrady na świecie różnie bywa. Czy narodowa-demokracja zapomniała, że w rządzie „narodowym“ był ministrem wojny generał Szeptycki, zdrajca ojczyzny według *Gazety Warszawskiej?...*

Czy wiadomo *Gazecie Warszawskiej*, że Georges Clemenceau, ten sam który doprowadził do procesu Malvy i Caillaux, zmuszony był do odsunięcia się od polityki na szereg lat, gdyż nacjonaliści francuscy oskarżyli go, iż jest zdrajcą Francji na rzecz Anglji?

Czy wiadomo *Gazecie Warsawskiej*, co o Malvy'm i jego nominacji mówił p. Briand podczas dyskusji w sprawie amnestji? Briand mówił dosłownie w Izbie do Malvy'ego: „Mam obowiązek oświadczenia tu, że gen. Joffre i gen. Nivelle oddaii hołd pańskiej współpracy. W r. 1915 tworzyłem gabinet. ... p. Bourgeois, p. Doumergue, p. de Freycinet uważali, że p. Malvy jest za młody, by wejść do gabinetu. Muszę oświadczyć, że Prezydent Republiki p. Poincaré, był jednym z tych, którzy najgoręcej zwalczali tę objekcję. Powiedział mi: „Malvy był moim najbliższym współpracownikiem (*le plus insime*). W ministerstwie spraw wewnętrznych musi być człowiek pewny. Niech pan zachowa p. Malvy'ego“. Oto dramat. Za czyny za które skazany był Malvy odpowiedzialna była cała Rada Ministrów“.

Tak o „zdrajcy“ Malvy'm mówił w ubiegłym tygodniu w Izbie były prezydent ministrów Briand.

A oto co mówi socjalistyczny poseł Moutet o p. Caillaux: „Nie byłem przyjacielem p. Caillaux. Zostałem przyjacielem człowieka prześladowanego. Uważam go za wielki rozum, wielkie serce, wielkiego patrjotę. Przeżyłem 52.000 aktów jego sprawy i krzyczę, że ten człowiek którego oskarżyliście przez namiętność polityczną jest niewinny. Powinniście się ugiąć pod waszą ohydną niesprawiedliwością“.

Tak wyglądają w świetle dyskusji w parlamencie francuskiem „zdrajcy“ pp. Malvy i Caillaux. P. Malvy jest zresztą od 11-go maja posłem do Parlamentu, a zarówno p. Malvy, jak i p. Caillaux pomimo uzyskania amnestji żądać będą prawdopodobnie rewizji procesu.

(ja)

Mniejszości narodowe wobec ustaw językowych.

Ustawy językowe uchwalone jednomyślnie przez większość polską Sejmu, wyjąwszy ustawę dotyczącą szkolnictwa, co do którèj P. P. S. wniosła poważne zastrzeżenia, są własnością mniejszości narodowych niemi objętych i dlatego stosunek ich do tych ustaw nie może być dla nas obojętny.

Oczywiście, wszystkie enuncjacie ogłoszone z tego powodu przez prasę mniejszościową trzeba przyjmować z wielkim krytycyzmem — jest w nich bowiem wiele demagogji, wypływającej z psychiki walki. Nie znaczy to wszakże, aby należało je zlekceważyć i pominąć pogardliwem milczeniem.

(Prasa ukraińska — *Diło*)

Diło zajmuje wobec ustaw stanowisko nieprzejednanie opozycyjnie, zwracając ostrze ataku na zasadę utrakwizmu, wprowadzoną do szkolnictwa. Rozprawiając się w tonie gwałtownym ze stołeczną codzienną prasą polską *Diło* konkluduje: „a więc przedstawicielami usiłowań i pragnień ukraińskich i białoruskich są nie wybrani posłowie ukraińscy i białoruscy, ale Grabski, Löwenhertz, Thugutt, Pruszyński, Menterys i ich towarzysze. Wypływa z tego, że przedstawicielami polskich pragnień w Dumie rosyjskiej, czy też w Sejmie psuskim byli Puryszkiewicze, Markowowie i hakatyści pruscy. Z taką logiką zaiste trudno jest walczyć"!.

To ostatnie zdanie zwraca się w całej swej treści przeciwko publicyście *Diła*. Zademonstrowany tutaj styl rozumowania niczego nas nie poucza o życzeniach i nastrojach ludności ukraińskiej, chyba tego, iż nie potrafi ona ani politycznie myśleć, ani rozumnie walczyć o swoje ideały.

Poziom wystąpienia *Diła* jest zbyt niski aby można było wyciągnąć zeń jakąś treść polityczną. A szkoda.

(Prasa białoruska — *Syn Biełarusa*)

Organ białoruski nie ma wiary w realizację ustaw językowych. „Z samej treści projektów rządowych widać, że autorowie nie myślą o wprowadzeniu ich w życie — przynajmniej w latach najbliższych".

Nie umotywowawszy tej tezy, *Syn Biełarusa* omawia dotychczasowe doświadczenia w zakresie szkolnictwa i dowodzi, że kuratorzy i inspektorzy szkolni „za swój główny obowiązek uważają niszczenie białoruskości". „Nie wierzymy w pożyteczność dla nas tych projektów, opracowanych przez rząd. W wystąpieniu rządu polskiego z oficjalnem uznaniem praw naszego narodu widzimy wyłącznie manewr polityczny... Ale właśnie jako krok polityczny, wniesienie do sejmu projektów rządowych, przyznających oficjalnie prawa narodu białoruskiego na jego odwiecznych ziemiach — w woj. Poleskiem, Nowogródzkiem i Wileńskiem, oraz w powiatach Grodzieńskim i Wołkowyskim, woj. Białostockiego ma dla nas olbrzymie znaczenie".

(Prasa litewska — *Lietuvos Kelias*)

Nieodstępująca Litwinów megalomanja znalazła oczywiście pole do popisu z okazji uchwalenia przez Sejm ustaw językowych, obejmujących również i mniejszość litewską. „Przecież w Wileńszczyźnie większość mieszkańców jest Litwinami — reweluje *Lietuvos Kelias* — i nie mają ani jednego swego posła do Sejmu i Senatu Warszawskiego, gdyż na skutek wiadomej sytuacji politycznej Litwy nie mogli uczestniczyć i nie uczestniczyli w wyborach do polskiego Sejmu i Senatu".

Sytuacja polityczna Litwy istotnie jest „wiadoma", przynajmniej w Polsce; natomiast bajeczka o większości litewskiej w Wileńszczyźnie jest wytworem zakłamanej wyobraźni jej autora.

Opieranie rachunku politycznego na świadomym kłamstwie jest dowodem braku rozumu i za nic innego poczytywane być nie może. Natomiast nie bez słuszności *Lietuvos Kelias* przypomina, że mimo wielu pięknych zapowiedzi wszystkich gabinetów ministerjalnych „dotychczas nie wciela się w życie nawet Konstytucji Polski, którą sami Polacy bez posłów z Kresów uchwalili". Twierdzenie to wymaga tylko małej poprawki a mianowicie, że realizacja zasad konstytucji nie została zaniechana, lecz postępuje zbyt żółwim krokiem.

(Prasa niemiecka — *Lodzer Volkszeitung*)

„Sytuacja Polski, o ile chodzi o kostrukcję narodowościową, jest znacznie pomyślniejszą, niż b. Austro-Węgier, czy też obecnej Czechosłowacji. Gdyby „gospodarze" nasi posiadali więcej szczerości i zmysłu politycznego — rozwiązanie sprawy mniejszości nie byłoby takie trudne... Projekt, dotyczący języka urzędowego jest curiosum. Nie można go zupełnie porównać z austryjacką ustawą językową, regulującą. pod naciskiem stosunków wzajemnych w 1918 r. kwestję językową wszystkich narodowości, wchodzących w skład monarchji austryjackiej".

Powoływanie się na Austrję z 1918 roku, jest argumentem wielce wątpliwej wartości i jeśli publicysta niemiecki nie znalazł bardziej współczesnych przykładów na zdyskwalifikowanie polskich ustaw językowych, nie wierzymy w szczerość jego oburzenia,

Trzydziestolecie „Robotnika".

Niechże nam wolno będzie, nam — zbojkotowanym przez dzisiejszych *Robotnika* dyktatorów — „burżuazyjnym" przedstawicielom „dnia wczorajszego", niechże nam będzie wolno wziąć skromny udział w podniosłej uroczystości trzydziestolecia walki, martyrologji i tryumfów *Robotnika*.

Składamy mu hołd.

Składamy mu hołd, gdyż był i pozostał dzieckiem czystej i wzniosłej idei sprawiedliwości dziejowej i sprawiedliwości społecznej, przyobleczonych w symbol niepodległej Polski, opartej na szlachetnych zasadach demokracji; składamy mu hołd, gdyż jego walki poprzez mrok, szubienice i cele więzienne, poprzez ofiarę męczeństwa i krwi, wiodły z żelazną konsekwencję do 6-tego sierpnia 1914 i listopada 1918 r.; składamy mu hołd, gdyż jego martyrologja była martyrologją największych i najpierwszych synów polskiej ziemi, jego cierpienia były bólem wszystkiego co w narodzie zachowało w latach niewoli szlachetność uczuć i wzniosłość dążeń; składamy mu hołd, gdyż tryumf jego idei stał się tryumfem i radością całego narodu.

Ze szpalt *Robotnika* płynęła zawsze prawda i światło, płynęła siła wielkiej wiary i wielkiego poświęcenia, wielkiej ducha i myśli czystości — siła twórcza i wola zwycięstwa. Nigdy na bezdrożach — zawsze na jasnych szlakach swego wzniosłego powołania, nigdy na tyłach — zawsze na czołowym okopie

bojowym, nigdy kunktatorski, pokorny, uległy — zawsze odważny, bojowy, bezwzględny, *Robotnik* był wskrzesicielem zamkniętej na honorowem miejscu w muzeum pamiątek czcigodnych, narodowej godności i honoru. Był on bowiem trybuną przywódców walki o prawa narodu, rękoma i krwią robotnika prowadzonej. Stąd jego hasła miały oddźwięk czynu, miały siłę realizacji przerażającej przeciwników w moskiewskie odzianych mundury.

Narodziny *Robotnika*, w czerwcu i lipcu 1894 r., są najściślej związane z imieniem Józefa Piłsudskiego i Stanisława Wojciechowskiego. Od tego czasu przez lat trzydzieści, wędrując z miejsca na miejsce, pochłaniając ofiary (r. 1900 aresztowanie Piłsudskiego, Rożnowskiego i Malinowskiego) trwa, na niesplamionej czystości posterunku. Od sześciu dopiero niespełna lat, bo od listopada 1918, wyszedłszy z podziemi konspiracji, stał się legalnym rzecznikiem ideologji P. P. S.

Trzydziestoletnią rocznicę jego służby publicznej, prasa, a za nią i większość społeczeństwa, naogół przyjęła milczeniem, które nie koniecznie jest wyrazem głębokiej kontemplacji. Poza feljetonistą *Kurjera Polskiego* ani jedno bodaj pióro władające miejscem na szpaltach dzienników stołecznych nie pamiętało przypomnieć swoim czytelnikom, że pracy ideowej, czystej, nieprzekupnej, należy złożyć w dniach jej święta szacunek. A jednak wielka to szkoda, że niechęć naszej oficjalnej opinji — urabianej rękoma, niestety, rzadko czystemi — względem pewnej kategorji zasług, staje się coraz bardziej miarą ich istotnej wartości.

Robotnik napewno nie ubolewa nad niechęcią swoich kolegów prasowych, w dniu zasłużonego tak pięknie święta. Doznał bowiem zaszczytu, które stało się udziałem niewielu wybranych: działalność jego w okresie piewszych 24-ch lat żywota znajdzie zaszczytną wzmiankę w historji.

Ustępuję, więc żyję...

Nie chciałem być ministrem spraw zagranicznych, ale uległem żądaniom moich przyjaciół politycznych p. Romana Dmowskiego, Strońskiego, Pannenkowej.

Nie chciałem ustąpić ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, bo i cóż w tem dziwnego. Skoro byłem dobrym ministrem w styczniu, dlaczego miałem być gorszym w lutym, marcu, kwietniu, maju, czerwcu. Ale trudno, musiałem ustąpić, musiałem ulec kategorycznym żądaniom p. Władysława, czy Stanisława Grabskiego.

Odchodzę. Gdy obejmowałem stanowisko ministra spraw zagranicznych nie znałem się na polityce zagranicznej. Ustę-

pując z tego stanowiska, przyznać muszę, że w dalszym ciągu się na niej nie znam.

Spraw do załatwienia było bardzo dużo. Jeszcze Poincaré, gdy wyjeżdżałem do Warszawy zwracał mi uwagę, że Seyda i Dmowski niesłychanie obniżyli *prestige* Polski. Oczywiście, że należało *prestige* podnieść, ale ja tego zrobić nie potrafiłem. Skąd? Skoro ani Dmowski, ani Seyda nie potrafili...

Ministerstwo było zdezorganizowane, gdy doń wszedłem. Nic się nie zmieniło. Jak było, tak jest, może nawet trochę gorzej, gdyż jednak Zielińskiego usunąć musiałem.

Znałem Barrésa, był wybitnym politykiem narodowym, ale trudno mi się było pogodzić z siostrzeńcem jego kucharki Herriotem. To nie nasza sfera.

Znałem Lorda Curzona, doskonale wykreślił nasze granice, ale z tym Mac Donaldem socjalistą, defetystą, ani Skirmunt, ani ja porozumieć się nie mogliśmy.

Z tymi panami z Ligi Narodów trudno mi było rozmawiać. Masoni, żydzi, socjaliści, cóż ja z nimi począć miałem. Wysłałem do Genewy Skrzyńskiego — on sobie z nimi dał radę.

Rozpocząłem urzędowanie od konferencji bałtyckiej — udało mi się ominąć całkowicie politykę bałtycką, doprowadziłem szczęśliwie do... konferencji kowieńskiej; a skończyłem urzędowanie na bałtyckiej konferencji prasowej. A mówią, że nie jestem zwolennikiem polityki bałtyckiej...

Chciałem doprowadzić do zbliżenia z Czechami, ale mi się później odechciało.

Z bolszewikami tak jak było źle, tak i jest dalej. Nawet z tego powodu przeprosiłem Oboleńskiego.

Natomiast w sejmie odniosłem niesłychane zwycięstwo. Daszyński, Niedziałkowski, Perl, Thugutt, Dąbski wszyscy oni mówili, żebym sobie poszedł, a ja nie chciałem pójść, a jak chcę to idę, bo mi się tak podoba... nietylko mnie zresztą...

P. Kozicki nie chciał wziąć za mnie odpowiedzialności, ale p. Stroński wziął, nawet napisał mi bardzo ładny nekrolog. Ale ja przecież żyję. Jak się to mówi:

Ustępuje, więc żyję.

Afera „Frankopolu“ w świetle interesów Skarbu i M. S. Wojskowych.

Francusko-Polskie Zakłady Samochodowe i Lotnicze. t. zw. Frankopol, w odpowiedzi na artykuł nasz wydobywający na światło dzienne jego groźne dla interesów obrony powietrznej państwa i występne wobec Skarbu machinacje, zamieściły w niedzielnym numerze *Polski Zbrojnej* idyllicznie zredagowane ogłoszenie, godne bliższej uwagi i szerszych wyjaśnień.

„Rozumiejąc olbrzymie znaczenie lotnictwa zorówno w komunikacji, jak również w całokształcie aparatu obrony państwa — czytamy w ogłoszeniu — grono obywateli postanowiło położyć podwaliny pod wielki przemysł lotniczy w Polsce i w tym celu zawiązało spółkę akc. „Fran-Pol. Zakł. Samoch. i Lotn. w Warszawie“.

Z powyższej deklaracji, brzmiącej jak hymn patrjotyczny przyobleczony w stal wielkiego czynu, wnosićby należało, że oto znalazło się „grono obywateli“, którzy wzgardziwszy łatwemi zyskami na spekulacji, zapewniwszy sobie współudział finansistów i techników francuskich, włożyli kapitały w budowę wielkiego warsztatu przemysłu lotniczego, uniezależniając w ten sposób Polskę od fabrykantów zagranicznych, co z punktu widzenia interesów obrony państwa jest koniecznością ze wszech miar palącą.

Złudzenie to niepomiernie wzrasta, gdy w dalszym ciągu dowiadujemy się z ogłoszenia iż „w sfinansowaniu Spółki biorą udział banki warszawskie i zamiejscowe z Bankiem Przemysłowym Warszawskim na czele“, i gdy wśród osobistości stanowiących władze spółki znajdujemy parę nazwisk obywatali nieposzlakowanaj uczciwości, znanych z bezinteresownej służby publicznej.

W rzeczywistości już bliższe rozpatrzenie składu osobowego władz Frankopolu prowadzi do wniosków budzących najwyższe zaniepokojenie co do niezależności finansowej tego ważnego w przyszłości ogniwa naszego przemysłu wojennego. Znajdujemy tam aż kilku przedstawicieli kapitałów austryjacko-niemieckich, a więc p. L. Wellisza — dyrektora niemieckiej fabryki „Fitzner i Gamper“, oraz austryjackiej fabryki lokomotyw „Chrzanów“; p. P. Heilperina — reprezentanta „Chrzanowa“ i na niemieckich kapitałach opartej fabryki „Zieleniewski“; p. dr. K. Hącię—rzecznika wielu przedsiębiorstw niemieckich w Polsce, między innemi „Wielkopolskiej Huty Miedzi“, prowadzącej nawet wyraźnie wrogą interesem państwa politykę; p.p. dr. Zdz. Słuszkiewicza i dr. M. Feintucha-Szarskiego — przedstawicieli Polskiego Banku Przemysłowego, opartego na kapitałach austryjackich, i wreszcie wybitnego przedstawiciela obrzydliwej, ssącej państwo, mafji Natansonów, p. S. Leskiego-Natansona, wymagającego paru słów szczególnej uwagi.

Nazwisko p. S. Natansona-Leskiego związane jest ściśle z zakładami przemysłowemi „Pocisk“ i „Nitrat“, których jest dyktatorem. Ponieważ obydwu tym fabrykom poświęcimy w najbliższym czasie artykuł specjalny, przeto narazie ograniczymy się do stwierdzenia, że większość ich akcji znajduje się w rękach austryjacko-niemieckiej grupy finansistów posiadających w Austrji zakłady przemysłowe „Enzesfeld-Hirtenberg“. Ponieważ ani władze państwowe, z któremi „Pocisk“ i „Nitrat“ związane są luksusowemi kontraktami, ani opinja publiczna

nie mogłyby ścierpieć, aby w obecnej sytuacji przemysł wojenny polski był ściśle uzależniony i kontrolowany przez kapitał niemiecki, przeto akcjonarjusze niemieccy i austryjaccy są nazewnątrz reprezentowani przez p. Natansona-Leskiego.

Gdy, jak twierdzi ogłoszenie Frankopolu, „grono obywateli postanowiło położyć podwaliny pod wielki przemysł lotniczy w Polsce“, ale gdy w tym gronie przynajmniej paru obywateli nie rozporządzało kapitałami, kilku wniosło tylko „stosunki i nazwisko“, zaś finansiści francuscy nie okazali zbytnej gorliwości w angażowaniu kapitałów własnych w polskie konkurencyjne przedsiębiorstwo, wówczas to, jako siła finansowa, wysunął się p. Natanson-Leski z kapitałami „Enzesfeld-Hirtenberg“, wciągając Frankopol w orbitę interesów tej grupy austryjacko-niemieckiej. Nie jest bez głębszego znaczenia, że wszystkie trzy spółki: „Pocisk“ „Nitrat“ i „Frankopol“ urzędują we wspólnym lokalu przy ul. Przejazd 5, w którym niepodzielenie panuje duch interesów „Enzesfeld-Hirtenberg“, bronionych czujną ręką przedstawiciela mafji domu Natansonów, odkomenderowanego przez głowę rodu do wyeksploatowania Skarbu na terenie przemysłu wojennego.

Sens rzeczy polega na tem, że t. zw. kapitał zakładowy Frankopolu jest wielkością najzupełniej fikcyjną. Akcjonarjusze nie angażują ani grosza z osobistych kapitałów w budowę fabryki—czyni to całkowicie ich rękoma państwo. W wymienionem powyżej ogłoszeniu Frankopolu znajdujemy niewinnie zdałoby się brzmiący zwrot tej treści: „W zrozumieniu znaczenia przedsiębiorstwa rząd okazuje mu poparcie, a Spółka zawarła z nim kontrakt na dostawę poważnej ilości płatowców i motorów, zapewniając sobie w ten sposób możność stałej produkci przez szereg lat i gwarantując stały zysk procentowy i amortyzację“. Sens tego aktu uznania p. Natansona—Leskiego dla rządu jest mniej więcej taki: pp. akcjonarjusze! nie oglądajcie się na to co piszą o naszych aferach w prasie. Mamy z rządem kontrakt „gwarantujący nam przez szereg lat stały zysk“ i na resztę gwiżdżemy.

W rzeczy samej i stałe poparcie i kontrakt istnieją, przyczem to „poparcie“ zajmuje w kontrakcie b. wybitne miejsce. Jesteśmy, na szczęście, w posiadaniu pełnego tekstu tego kontraktu z końca 1920 r., dzięki czemu możemy opinję zaznajomić z temi jego tajemnicami, które oświetlają finansową stronę afery Frankopolu.

Art. VII kontraktu określa sposób regulowania przez M. S. Wojsk należności Spółce w sposób następujący: 1) „5% przybliżonej wartości pierwszego zamówienia rocznego płaci M. S. Wojsk. w przeciągu 3-ch tygodni po nabyciu przez Spółkę terenów pod zakłady“ i 2) 10% przybliżonej wartości pierwszego zamówienia rocznego (większego niż w następ-

nych — *P. R.*) po rozpoczęciu robót budowlanych przez Spółkę".

Nie wdając się w bliższą analizę tych cyfr stwierdzamy, iż po 1) fabryka Frankopolu budowana jest na terenach rządowych; po 2-gie) mimo to, na podstawie powyższych punktów umowy, otrzymał on z kasy państwowej w różnych czasach od 1920 r. w markach polskich sumy wynoszące po przewaloryzowaniu 700.000 złotych pol., przyczem należy conajmniej sceptycznie odnosić się do sumienności tej waloryzacji z punktu widzenia interesów Skarbu, a to wobec żywego przykładu z aferą żyrardowską p. Kucharskiego; po 3-cie) Frankopol otrzymał poza kontraktem nadzwyczajną pożyczkę rządową 5 miljonów franków na zakup maszyn i po 4-te) Frankopol otrzymuje wysoką prowizję od zamówień rządowych, na silniki i aeroplany, poczynione we Francji.

Państwa nieposiadające u siebie pewnych niezbędnych dla ich potrzeb gałęzi przemysłu, stosują zwykle zasadę dawania obstalunków upatrzonej firmie zagranicznej, zobowiązując ją do wybudowania, pod kontrolą i w oznaczonym terminie, na swoich terytorjach fabryki wyrabiającej dany produkt.

Jeszcze lepiej, jeśli państwo może podobną umowę zawrzeć z własnemi przedsiębiorcami, którzy w zamian za obstalunek zobowiązują się własnym kosztem wybudować fabrykę, odpowiadającą określonym wymaganiom. Natomiast nigdy i nigdzie nie było praktykowane, by państwo budowało fabrykę dla paru przedsiębiorców, wśród których większość stanowią obcy, w tym wypadku grupa „Enzesfeld - Hirtenberg - Natanson", bez żadnego z ich strony ryzyka, ani świadczeń i oddawało im ją jako wygodny warsztat dla eksploatacji Skarbu.

Tak właśnie ma się sprawa z Frankopolem. Otrzymawszy od państwa plac pod budowę fabryki; 700.000 tys. złotych, a mamy głębokie przekonanie — znacznie, ale to znacznie większą sumę, zgilotynowaną tylko przy waloryzacji; 5 miljonów franków pożyczki, oraz 12 do 14 miljonów franków tytułem prowizji od zamówień poczynionych przez M. S. Wojsk. w francuskiej fabryce „Lorrain-Dietrich" i innych: raz na sume 70 a drugi na 75 miljonów franków (to ostatnie zamówienie finalizuje się obecnie) —austryjacko-niemieccy przemysłowcy w osobie p. Natansona-Leskiego przy asyscie różnych rekinów i płotek miejscowych, mogą spokojnie kpić z naiwności polskiego rządu, któremu wydawało się, iż topiąc pieniądze w kieszeniach głównych zarządców Frankopolu pcha naprzód dzieło budowy przemysłu lotniczego, podczas, gdy w rzeczywistości uczynił karygodny prezent niemieckim i austryjackim finansistom, oraz paru ich pseudo i paru czysto polskim reprezentantom i obrońcom.

Dzisiaj rzecz zabrnęła tak daleko, że mimo wyraźnego niedotrzymania przez nich zasadniczych punktów umowy, rząd

jest bezradny, gdyż zaangażowawszy się po uszy ma do czynienia z kontrahentem, który niczego nie ryzykuje i żadnych środków represji obawiać się nie potrzebuje.

Ale o tej stronie afery — w następnym numerze pisma.

W. Stpiczyński.

Odprawa mędrcom z P. K. O.

P. K. O., której referat prasowy, opłacany za pieniądze jej klijentów, nie istnieje nigdy gdy trzeba wystąpić w obronie zaatakowanych publicznie urzędników niegalicyjskiego pochodzenia, lub nawet sprostować zarzuty, obciążające instytucję samą, nagle przemówił, gdy dotknięty został interes p. prezesa i jego galicyjskiego pupila. Oto zostaliśmy zaszczyceni pismem Prezydjum P. K. O. za № 159901 Dyr. z dn. 14 lipca 1924 r. następującej treści: „W nr. 44 „Głosu Prawdy" z dnia 12. VII r. b. wydrukowano notatkę p. t. „W P. K. O. coraz lepiej". Nieznanemu autorowi powyższej notatki komunikujemy: 1) Naczelnik Wydziału Oszczędnościowego i długoletni prezes Zrzeszenia Urzędników P. K. O., p. Seweryn Kulczycki nigdy i w żadnym stopniu nie był krewnym p. Prezesa Huberta Lindego; 2) p. Kulczycki wynajmuje w jednym z domów P. K. O. czteropokojowe mieszkanie, podobnie, jak wielu innych urządników P.K.O., którzy korzystają z lokali w jej domach, na ten cel przeznaczonych. w z. Prezes *Żelechowski*".

To sprostowanie zmusza nas do udzielenia p. Żelechowskiemu, względnie odpowiedzialnemu sprostowania autorowi poniższego pouczenia:

1) Redakcja nie jest skrzynką do listów nawet dla P. K. O. i dlatego polemizowanie za jej pośrednictwem z „nieznanym autorem notatki" w urzędowem sprostowaniu jest dowodem braku taktu. Dobre wychowanie, obowiązujące również i na urzędach, nakazuje wyjaśniać i komunikować bezpośrednio Redakcji.

2) O ile nam wiadomo, prawo nie zna rodzaju chwilowego pokrewieństwa i dlatego wyjaśnianie, że „p. Seweryn Kulczycki nigdy i w żadnym stopniu nie był krewnym p. Prezesa Huberta Lindego" jest pozbawione sensu a ponadto grzeszy brakiem taktu względem obydwu wymienionych panów. Poprawnie po polsku należy tą samą myśl sformułować: „p. Sew. Kulczycki nie jest krewnym p. prez. Hub. Lindego". „Nigdy i w żadnym stopniu"— zbyteczne. Ponadto, ponieważ obydwaj żyją, użycie czasu przeszłego jest niewłaściwe, lub może tylko wykrętne. Nigdy nie był, to jeszcze nie znaczy — nie jest. Może jest?

W sprostowaniu nie znajdujemy natomiast wyjaśnienia najważniejszej sprawy: dlaczego tenże p. S. Kulczycki, jako urzędnik P. K. O., agituje kolegów do publicznej akcji bielenia zabagnionej polityki personalnej Prezydjum, prowadzone przez p. Dzierżanowskiego. P. Kulczycki ma ku temu szczególne powody, gdyż, w normalnych stosunkach byłby już dawno, za grubijaństwo na urzędzie, wydalony. Ten to bowiem pan w 1922 roku kazał najwpierw, bez sprawdzenia tożsamości osoby, aresztować klijenta, niejakiego p. Grabowskiego, gdy ten zgłosił się po odbiór wkładu z książeczką, która mu uprzednio zaginęła, a później, spostrzegłszy nietakt, tłómaczył się wobec poszkodowanego tem, że w P K O. pracuje mało galicjan, a ci królewiacy to taka niewyrobiona i niekulturalna hołota, że on, galicyjski delikates, czuje się w obowiązku za nich p. Grabowskiego przeprosić. Dzisiaj tenże Kulczycki przygotowuje w pocie czoła dniami i nocami epistołę, że jak Franz Josef na niebie, „żadni galileusze w P. K. O. nigdy i w żadnym stopniu protegowani nie byli.".

Ale dlaczego tego rodzaju wybryki toleruje Prezydjum?

Administracja prosi P. P. Prenumeratorów o uregulowanie należności za kwartał III-ci.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.